

## Wojciech Wencel: Nowe szaty błazna

Wizja Polski chamów mimo wszystko musiałaby Gombrowicza  
zniechęcić do podgryzania Mickiewicza - pisze w Gościu Niedzielnym  
Wojciech Wencel



Felieton z tygodnika "Gość Niedzielny" nr 2/2011 i ze strony internetowej Autora

Jak zapamiętamy rok, w którym doszło do jednego z najbardziej tragicznych i doniosłych wydarzeń w historii Polski? Czy był to czas smutku, powagi i skupienia? Hołdu składanego ofiarom katastrofy smoleńskiej? W pierwszych dniach po 10 kwietnia większość Polaków pogrążyła się w żałobie. Pod pałacem prezydenckim płonęły tysiące zniczy, w gazetach pełno było pięknych wspomnień, a stacje telewizyjne z wyczuciem informowały o kolejnych pogrzebach. Ale bardzo szybko atmosfera się zmieniła. Ktoś nagrał piosenkę „Po

trupach do celu”. Ktoś inny chciał badać, czy w czasie lotu prezydent był pijany. Jeszcze ktoś inny rechotał z reklamy piwa „Zimny Lech” i szydził z ludzi modlących się pod krzyżem.

W mediach ucichły treny i zaczęły się dyskusje o polskim bałaganie, politycznym wykorzystywaniu katastrofy, smoleńskiej grypie itd. Od słowa do słowa śmiertelnie poważna – wydawałoby się – tragedia stała się komedią, na co zwrócił niedawno uwagę prof. Andrzej Nowak. Smoleńsk przedstawiano jako partyjną grę, spiralę pomyłek, idiotyzm, absurd. Jako wydarzenie, gdzie ścierają się różne racje, z których żadna nie jest do końca prawdziwa. Na końcu okazało się, że wszystkie uczestniczące w przedstawieniu postaci, z ofiarami katastrofy włącznie, są równie zabawne.

W „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” napisanych po upadku powstania listopadowego Adam Mickiewicz wzywał: „Wy noście czamary powstańskie, i starsi, i młodszy; bo wszyscy jesteście żołnierzami powstania Ojczyzny. Czamarą zaś nazywa się po polsku strój, w który ubierano umierającego. A wielu z Was umrze w stroju powstańskim. Wszyscy zaś niech będą gotowi umrzeć”. Była to nie tylko naturalna reakcja na klęskę powstania, ale i duchowy testament dla chrześcijan następnych stuleci. A co Polacy założyli po katastrofie smoleńskiej? Czapeczkę z dzwoneczkami, kolorowy żupanik i rajtuzy. Szaty błazna.

Napisałem wiele felietonów, które miały na celu przede wszystkim rozbawić czytelnika. Nigdy nie ukrywałem, że katolicy, którzy nigdy się nie śmieją, są w moim odczuciu bardziej nieznośni niż ateści. Jednak czym innym jest śmiać się z rzeczy śmiesznych, a czym innym śmiać się zawsze. W wesołym miasteczku i na cmentarzu. W pełnym słońcu i podczas burzy. Na koncercie Dody i na koncercie Chopina. Niezależnie od sensu zdarzeń, każde z nich przerabiać na głupawą historyjkę, którą

można opowiedzieć sobie i innym, żeby poczuć się przyjemnie.

Taka permanentna ucieczka od powagi jest cechą ludzi bez charakteru. Jest maską egoistycznie zakładaną na twarz, by nie dać się zranić, dotknąć, poruszyć doświadczeniami bliźnich. Ale jej skala w przypadku tragedii smoleńskiej sprawia, że decyduje ona o kształcie całej polskiej kultury. Przestaje być czyjąś prywatną sprawą, wpływa na życie nas wszystkich. Oczywiście, większość błaznów śmiejących się z tragedii to „młodzi, wykształceni, z wielkich miast”. Na internetowych blogach nazywa się ich lemingami, bo łatwo przewidzieć ich reakcje. Ich zaraźliwy rechot jest tyleż skutkiem złej woli, co konsekwencją ograniczenia horyzontów. Większą odpowiedzialność ponoszą reprezentanci błazeństwa świadomego, najczęściej uważający się za spadkobierców Witolda Gombrowicza. Życie jest dla nich pojedyńkiem na miny. Nie zaprzeczają, że sami noszą maski, ale wmawiają to również wszystkim innym. Nie uznają autentyczności. Ich zdaniem, człowiek zawsze kłamie, a jeśli wierzy, że mówi prawdę, to znaczy, że został zmanipulowany i oszukuje samego siebie.

Do niedawna istniała wyraźna granica między lemingami a intelektualistami. Jedni rechotali albo posługiwali się prostym szyderstwem, drudzy doskonalili trudną sztukę ironii. Katastrofa smoleńska zatarła tę granicę, czego widzialnym znakiem był kongres Ruchu Poparcia Janusza P. Profesorowie wymieszali się z medialnymi trefnisiami i chuliganami z Krakowskiego Przedmieścia, a jakoś ich błazeństwa stoczyła się po równi pochyłej. Jedni i drudzy mówią dziś tym samym językiem. Pod sztandarami walki z hipokryzją liczą księżom samochody, tropią smoleńską „nekrofilę” i manipulacje Jarosława Kaczyńskiego. Ich szyderstwa mają lekkość czołgu. Ich rechot brzmi nazbyt donośnie.

„Bóg zsyła mnichów, diabeł błaznów” – głosiło średniowieczne

przysłowie. Nie zawsze trafność tej myśli była tak oczywista, jak dzisiaj, kiedy głupkowany śmiech roznosi się nad polskimi trumnami.

Demaskatorskie teksty Gombrowicza były potrzebne naszej kulturze dla zachowania równowagi, jako antidotum przeciw skrajnej narodowej megalomanii. Podejrzewam jednak, że gdyby autor „Trans-Atlantyku” wiedział, jakie będą konsekwencje jego projektu, przerzuciłby się na pisanie romantycznej poezji. Wizja Polski chamów mimo wszystko musiałaby go zniechęcić do podgryzania Mickiewicza.

Ktoś powie, że wieszcz przesadzał, zalecając Polakom przywdzianie szaty śmierci. Jego „czamary powstańskie” miały jednak swoją wagę, wiązały się z poważnym namysłem nad losem i misją narodu wobec historycznego doświadczenia. Nowe szaty błazna nie mają żadnego ciężaru, bo – jak w baśni Andersena o cesarzu – są iluzją. Ich właściciele udają, że noszą piękne ubrania, żeby nie wyjść na głupców, ale w rzeczywistości biegają po Polsce z gołymi tyłkami. Będą tak biegać, aż jakieś dziecko krzyknie: „Błazen jest nagi!”.

*Wojciech Wencel*